Nr 28. Kraków, 11 Lipca 1891. Rok I.

«KRAKUS» wychodzi w każdy Piątek wieczorem.

Administracya w księgarni «Spółki wydawniczej polskiej.»

Redakcya ul. Szewska Nr. 15.

KRAKUS

Prenumerata wynosi:

w Krakowie
rocznie . . 2 złr. 60 c.
półrocznie 1 » 30 »
kwartalnie — 65 »

z przesyłką pocztową
rocznie . . 3 złr. — c.
półrocznie 1 » 50 »
kwartalnie — 75 »

pismo poświęcone sprawom politycznym i społecznym,
oraz nauce, rozrywce umysłowej i szerzeniu wiadomości pożytecznych.

O gospodarności w obrębie gminy

opowiedział

Kazimierz Langie.

II. Piętnaście lat później.

Przez lat piętnaście nic się w tej wsi na pozór nie zmieniło. Jak płynęła rzeka tak płynie — strumień jak zalewał błonia i obrywał pola, tak samo broi i teraz. Bydło takie samo głodne i nędzne; pola tak samo nieurodliwe, tylko jeszcze więcej wyjałowione; dzieci chorują i mrą tak samo jak przed piętnastu laty, a i starzy tak samo lubią jarmarki i karczmę... Na pozór więc nic się w Dąbrówce nie zmieniło — ale zmieniło się wiele rzeczy tymczasem w świecie, co i na tej wiosce koniecznie się odbić musiało.

Zmian takich zaszło w kraju naraz aż kilka, a każda z nich odczuć się dała po wioskach: Najprzód zaprowadzono w monarchii całej powszechną służbę wojskową — więc na czas krótszy wprawdzie, ale znacznie więcej ludzi niż przedtem, brać zaczęto w rekruty. Podatki z ziemi i z domów znacznie podwyższone zostały. Sądownictwo zmienione. Włościanom otworzono drogę do urzędów autonomicznych. Cesarz pozwolił, żeby mieszkańcy wsi i miast sami radzili o dobru swojej gminy i swojego powiatu. Władze rządowe odstąpiły urzędom autonomicznym opiekę nad drogami krajowemi, szkołami i szpitalami. W opiece tej i w naradach tak gminnych jak powiatowych, włościanie na równi z dziedzicami brać mogą udział. Mogą być wybierani do Rad gminnych, do Rad powiatowych i do Sejmu, który jest Radą kraju całego.

Dotychczas rząd opiekował się rolnikami nieoświeconymi, i jak dziecię małe za rękę ich prowadził. Więc tego i owego nie wolno było ludziom wiejskim czynić bez pozwolenia rządu: ani gruntów rozdzielać, ani nowych budynków stawiać, ani długów na grunt zaciągać, ani cząstki dziedzictwa swego uprzedać, ani wekslów podpisywać... Naraz wszystkie te zakazy w roku 1868 prawodawstwo zniosło, rozumując, że kiedy włościanie zdolni są rządzić gminą, i udział brać w rządzeniu majątkiem powiatu — to i swoim prywatnym majątkiem pewnie rozumnie już zarządzać potrafią — a przeto dalszego niańczenia i nadzorowania władzy nie potrzebują.

Ślicznie to wszystko prawodawcy obmyślili, tylko jednę maleńką w swej rachubie popełnili omyłkę:

Oto rachowali oni, że już dwadzieścia lat od zniesienia pańszczyzny ubiegło, i że włościanie nie przymuszani teraz do pracy na dworskim łanie, dużo czasu wolnego mieli — a więc przez lat 20 mogli się wiele nauczyć i zmądrzeć.

Widzieli ci prawodawcy dookoła Wiednia, jak chłopi zaraz szkoły popostawiali, sprowadzili sobie nauczycieli, a starzy i młodzi do nauki się garnęli, i wkrótce dwa razy lepiej niż przedtem na polach swoich gospodarować zaczęli. Prawodawca myślał, że wszędzie i w każdym kraju i w każdej wsi, tak samo się dzieje... Gdyby był przed wydaniem tego pięknego prawa zaglądnął do Dąbrówki — byłby przekonał się, że jest w błędzie: że tu tak starzy jak i młodzi niczego się przez te 20 lat nie nauczyli, że nic lepiej nie gospodarują na swoich polach, jak za czasów pańszczyzny— ba często gorzej jeszcze, bo nie czując nad sobą przymusu, wielu folgowało wrodzonemu lenistwu, a wszyscy nie mieli już jak dawniej śmiałości, zapędzić się do dworu po pomoc, gdy bydlę padnie, stodoła zgorzeje, lub inne jakie nieszczęście na gospodarza spadnie. Byłby przekonał się uczony prawodawca, że w Dąbrówce gospodarze czasu wolnego bardzo dużo miewali, ale na co innego a nie na uczenie się go obracali; że w karczmie, na jarmarkach, na próżniactwie go spędzali i ubodzy i nieoświeceni byli tak samo teraz, jak przed laty dwudziestu.

Ze wszystkich zmian zaszłych w onym czasie w ustawodawstwie państwowem, najciężej zaważyła na losie gospodarzy w Dąbrówce ta zmiana, która ogłosiła wolność każdemu dysponowania swoim majątkiem.

Nie można zaprzeczyć, że to prawo nowe jest bar-

dzo piękne, i pożytecznem a nawet błogosławionem w swych skutkach okazaćby się mogło — gdzie ludzi pracowitych a rozumnych zastało.... Ale w Dąbrówce nie wielu było takich! Zaledwie dwóch czy trzech z drukowanego przeczytać coś umiało — rachować nie umiał nikt — arendarz sam rachował za wszystkich i wszystkich był doradcą. To też i piękna ustawa ona, co dobroczynną dla innych ludzi była, dla Dąbrowian zgubą się stała.

Po co tu rozpowiadać szeroko rzeczy, które wszystkim są znane — bo w każdej niemal wsi w kraju naszym, gdzie tylko naród tak rozpróżniaczony był jak w Dąbrówce, działo się jednakowo i na podobny sposób:

I arendarz, co wódkę na borg dawał, i kramarz z miasteczka, który sól kredytował, i lichwiarz okoliczny, który pieniędzy kiedyś na opłacenie podatku pożyczył — słowem wszyscy ci, którzy dobroczyńcami chłopa się mienili, a dotąd długi swoje zawsze z grubą lichwą, to zbożem, to sianem, to bydlęciem, co roku sobie odbierali — teraz obawiając się, żeby ich drudzy nie uprzedzili, spadli na dłużnika swojego wszyscy naraz, domagając się od niego rewersu albo wekslu.

I byli tacy, co tłomaczyli chłopkowi ciemnemu, że co to kosztuje położyć na papierze znak krzyża świętego — i podsuwali do podpisania rewersy, na których często większe sumy pieniędzy zapisane były, niż dług istotnie wynosił. A chłopek nasz czytać nie umiejąc, a zdrady nie podejrzywając, podpisywał w dobrej wierze fałszowane rewersy.

Byli inni, co spoiwszy wpierw chłopka i wmówiwszy w niego niebywałe sumy długów, do notaryusza go wiedli, i tam urzędownie weksle podpisywać sobie kazali.

Byli jeszcze inni, co zliczywszy długi dawne, obiecali jeszcze sto reńskich dodać zaraz, jeżeli podpis na te i na tamte dostaną. Jakżeż tu było gospodarzowi wstrzymać się od podpisania świstka papieru, skoro za to stówkę całą zapłacić obiecywano. — „Jakoś to się tam spłaci po dawnemu pomału“ — myślał sobie niejeden — „ale co użyję teraz, to użyję! Stówka przecie mi na długo wystarczy“.

Ale nie pomału i nie po dawnemu nastąpić teraz miały spłaty. Wszakże włościanin uznany przez prawo za dojrzałego i rozumnego człowieka, powinien był znać ustawy, i wiedzieć jakie skutki pociąga za sobą podpisanie dokumentu prawnego.

Droga była krótka: lichwiarz szedł z rewersem lub wekslem do sądu — a sąd wydawał wyrok, że ponieważ termin przyrzeczony upłynął, przeto cały dług *zaraz* musi być spłacony. Kto nie miał czem zapłacić, tego grunt sprzedawano przez licytacyę.

Ludzie głupi w Dąbrówce nie wierzyli zrazu, żeby lichwiarz, który dotąd zawsze był przyjacielski i grzeczny, teraz miał się okazać tak niemiłosiernym. Nie wierzyli, żeby sąd nie ulitował się nad ich dolą, gdy pójdą i pięknie się pokłonią... Aż kilka rzeczywiście dokonanych sprzedaży i wyrzuceń gospodarzy z ojcowizny, otworzyło ludziom oczy.

Więc dalejże dopiero ci, na których podobna kolej niebawem przyjść miała, rozglądać się gdzieś za ratunkiem, za pomocą, za radą poczciwą. Ale rada sama nie zbawi tam, gdzie pieniędzy zaraz potrzeba. Dziedzic Dąbrówki był sam w podobnychże kłopotach, więc ratować biednych ludzi pieniędzmi nie mógł... Ale pisał do tych panów, którzy w Sejmie we Lwowie radzą: że bieda po wsiach jest wielka, że lichwa niezmiernie ludzi uboży, i że w krótkim czasie wszystką im ziemię z posiadania wydrze. Więc jak zaczęli panowie w Sejmie nad tą biedą radzić, tak uradzili prawo *przeciwko lichwie*, i prosili Cesarza, żeby to prawo przez nich uchwalone dla Galicyi zatwierdził: żeby odtąd nie wolno było od długów rachować zbyt wysokich procentów.

Ulga to już dla biednych ludzi była wielka — bo długi ich nie narastały odtąd tak prędko i w takie ogromne sumy — ale zawsze to, co się już winno i procenta umiarkowane, jakie wolno było lichwiarzowi pobierać, trzeba było spłacić koniecznie, bo inaczej grunt, chałupę i dobytek cały można było utracić.

Otóż ratowali się ludziska w Dąbrówce na rozmaite sposoby: Jedni, co uczciwszemu lichwiarzowi, sprosili się na czas dłuższy ze spłatą, zapychając mu tymczasem gębę to cielęciem, to zboża miarą, to puszczając mu gruntu część w dzierżawę bezpłatną za poczekanie.

Drudzy obliczyli sobie, że taniej ich kosztować będzie, sprzedać zaraz komu jeden lub dwa morgi na własność, zbyć się tym sposobem odrazu lichwiarza i uratować resztę ojcowizny.

Trzeci znowu zasłyszeli, że jest we Lwowie bank jakiś nowy, założony umyślnie na to, żeby włościan w kłopocie takim będących ratować — więc niektóry udał się tam o pomoc. — „Wiele potrzebujesz pieniędzy?“ pytano go w Banku. — „Dwie stówki papierków“ odpowiedział Wojciech. — „Dlaczegóż nie żądasz trzy?“ odpowiedziano. „My ci damy i 400 reńskich na twoje 16 morgów, jeśli zechcesz“... Jakże tu niebrać więcej, kiedy sami chcą dawać, pomyślał rozumny Wojciech z Dąbrówki. I lichwiarza spłacę i bydlę jakie przykupię, i podatki zaspokoję, i jeszcze mi na hulankę sporo grosiwa zostanie. ...„To proszę o 400“ powiedział.

I ten ze wszystkich wyszedł najgorzej. Do dwóch lat z gruntu wyleciał, żona ze zmartwienia umarła, dzieciska ludzie porozbierali, a on sam w jednej koszuli, bosy, poszedł do żydów na służbę.

Tak wyglądały rzeczy w Dąbrówce przed dwudziestu laty. Długów nie miało zaledwie tylko kilku

gospodarzy, którzy byli pracowici i trzeźwi, a żony mieli gospodarne i z lichwiarzami znajomości się strzegli. Na uszczuplonych ojcowiznach, ale także bez długów już, siedziało jeszcze kilku, którzy to woleli urznąć połę, by resztę ziemi ratować, a pomiędzy mieszczanami w sąsiedztwie znaleźli na swoje morgi kupców. Reszta gospodarzy we wsi zadłużona była po uszy — wydziedziczenie im groziło. *C. d. n.*

ZIEMIE I GRODY POLSKIE.

IV.

Litwa i Wilno.

Polska była już państwem chrześcijańskiem i to potężnem, królowie jej słynęli z męstwa i waleczności, kiedy na północ od niej, nad brzegami Niemna żył jeszcze w pogaństwie lud pokrewny Słowianom, Litwini. Wierzyli oni w różnych bogów, z których najwyższym był straszny Perkunas, władca piorunów; czcili święte gaje, drzewa, rzeki i opowiadali sobie dziwne baśnie o ptakach i zwierzętach, które zaludniały czarne puszcze ich lesistej krainy. Kukułka — mówili — to biedna dziewczyna. Trzech ona ukochanych braci utraciła w wojnie i poszła w lasy, aby tam smutnego dokonać żywota, a litościwi bogowie zamienili ją w kukułkę, chcąc ulżyć jej doli. Słowik zaś, to młodzieniec, co kochał się nieszczęśliwie i z rozpaczy się utopił, bogowie zamienili go w słowika, który smutne swoje dzieje co wiosnę tak żałosnym opowiada śpiewem.

Lud, co wierzył w te podania, zamieszkiwał obszary nad Niemnem, rzeką wpadającą do morza Baltyckiego. Był to, jak mówi poeta polski Wicenty Pol:

Lud cichy, rzewny, skryty,
Jak to mówią: kuty, bity.
Kiedy szczery, jak wosk topnie;
Ale jak go kto zahaczy:
To i w grobie nie przebaczy,
A na końcu swego dopnie!

To też nie zawsze siedzieli spokojnie w swej ubogiej chacie, nieraz napadali na sąsiednie kraje, skąd uprowadzali bogate łupy, i Polska też wiele ucierpiała od Litwinów. Później przybył Litwie wróg straszny w postaci Niemców, Krzyżaków, którzy pod pozorem nawracania do wiary chrześcijańskiej, niszczyli ją bez miłosierdzia. Wtedy Litwini zaczęli się łączyć ku wspólnej obronie i wybierać sobie książąt. Najpotężniejszym z nich był Gedymin. Waleczny bohater ten już żył w przyjaźni z królem Władysławem Łokietkiem, a córkę swoję Aldonę wydał za jego syna Kaźmierza Wielkiego. Wnukiem zaś Gedymina był Jagiełło, który to przez ożenienie z Jadwigą, Litwę nazawsze do Polski przyłączył. Wkrótce potem Litwa cała została ochrzczona. I odtąd te dwa narody przez 400 lat żyły wspólnie w wielkiej zgodzie, wspierając się wzajemnie. Litwa dostała od Polski wiarę w prawdziwego Boga i pomoc przeciw Krzyżakom, jej książę zasiadł na tronie polskim, Polska zaś znalazła w Litwinach dobrych przyjaciół, którzy wspierali ją swemi siłami tak w bitwie, jak i w pokoju. Z czasem te dwa narody zespoliły się zupełnie; dziś każdy Litwin mieni się Polakiem i gotów życie oddać za wolność Polski. Kościuszko, o którym każdy słyszał pewnie, jak dobrze bił Moskali, był Litwinem i wielu poetów polskich, także największy wieszcz nasz, Adam Mickiewicz, z Litwy pochodzili. Litwa więc, choć najmłodszą była córą korony polskiej, wiele jej chluby przyniosła, a dziś, gdy wszyscy jesteśmy w niewoli, ta Litwa cierpi najwięcej, gnębiona przez dzikiego wroga, Moskala.

Kiedy Jagiełło ożenił się z Jadwigą w roku 1386, Litwa, jak już powiedzieliśmy, połączyła się z Polską, ale o tyle tylko, że jeden król nad dwoma państwami panował. Polacy dobrze robili, że każdego następnego Wielkiego Księcia Litewskiego swoim królem uznawali, i przez to coraz większa łączność panowała między dwoma narodami i państwami. Ale Litwa zawsze jeszcze była odrębnem państwem. Dopiero ostatni potomek Jagiełły, król Zygmunt August w roku 1569 doprowadził na sławnym sejmie lubelskim do tego, że Litwini i Polacy zawarli tak zwaną Unię, to jest jakby nierozerwalny związek małżeński. Odtąd dzieje Litwy stały się już dziejami Polski, i Wielkie Księstwo Litewskie stanowiło trzecią prowincyę po tak zwanej Wielkiej i Małej Polsce.

Mnóstwo rzek, jezior i strumieni skrapia ten kraj rozległy, a największe z rzek są: Niemen, Dźwina i Prypeć. Najpiękniejszą po Niemnie jest Wilija, „rodzica naszych strumieni,“ jak ją nazwał wielki poeta Mickiewicz. O wspaniałych puszczach litewskich czytaliście zapewne w „Panu Tadeuszu“, najpiękniejszym utworze tegoż samego Mickiewicza. Olbrzymie lasy posiadały i dziś posiadają jeszcze drzewa tak wielkie i wspaniałe, że je zakupują na maszty okrętowe. Zboże wszelkiego rodzaju pięknie rośnie na Litwie, a nad wszystko ceniony jest len, który tam rodzi się najpiękniej. Żadna z części Polski nie miała tyle co Litwa zwierzyny, ryb i miodu.

W roku 1772, to jest kiedy był pierwszy rozbiór Polski, sto mil z górą, od Maryjanhausa w Inflantach do granicy Wołynia, to jest z północy na południe, rozciągało się Wielkie Księstwo Litewskie; również sto mil wschodnie jej granice od Mścisławia za Dźwiną odległe były od zachodnich, gdzie się Litwa stykała z Prusami. Dzielono Litwę na 11 części to jest województw. Całe województwo Wileńskie i połowę Troc-

kiego nazywano właściwą Litwą. Województwa Połockie, Witebskie i Mścisławskie z częścią Mińskiego nazywano Białą Rusią. Województwo Nowogrodzkie z częściami przytykających województw: Mińskiego i Trockiego, nosiło nazwę Czarnej Rusi. Prócz tego należały do Litwy: księstwo Inflantskie i Żmudź, podzielona na 12 powiatów, oraz Polesie, składające się z części województw Mińskiego i Brzesko litewskiego.

Już z tych nazw Czarnej i Białej Rusi widzimy, że dużo Rusi do Litwy należało, stąd też większa część Litwy mówiła po rusku. Ale właściwi Litwini mieli swój język osobny, i do dziś dnia jeszcze nim mówią, i mają książki do nabożeństwa i inne w tym języku pisane. Bardzo dużo też jest pieśni pisanych po litewsku, a uczeni ludzie spisują je i wiele się niemi zajmują, bo są bardzo ciekawe i mówią nam, jak to dawniej ludzie na Litwie żyli i w co wierzyli. W pieśniach tych nic prawie nie znajdujemy o wojnach i pożogach, ale tylko wiele podań, opisów smutnych wypadków i wiele miłości do rodziny i ziemi ojczystej. Najwięcej opiewają one szczęśliwość pożycia domowego i wysławiają przyjaźne stosunki krewnych i członków rodziny. To wszystko dowodzi, że naród ten był z gruntu poczciwy, że nie zazdrościł nikomu bogactw, ale chętnie przestawał na swojem. Wszystko kochał co go otaczało, i o wszystkiem z miłością się odzywał. W tych pieśniach dziewczyny matkę prawie zawsze nazywały mateczką, słońce słoneczkiem, a piękną rzekę Niemen Niemenkiem.

Chcąc wam opowiedzieć, mili czytelnicy, jak wygląda stolica litewska, trzeba było przedtem pokrótce powiedzieć coś o Litwinach i skreślić Litwy dzieje, abyście sobie przypomnieli, że Litwini, choć tak od was daleko, że mało dziś o nich słyszycie, są przecież braćmi waszymi. A dowiedziawszy się z tych kilku słów o Litwinach, może teraz z większą uwagą słuchać będziecie opowiadania o największym grodzie litewskim. Gród ten, to Wilno. Leży ono nad rzeką Wiliją, poboczną Niemna, o której już wspomnieliśmy. Rzeka to wartka w biegu, o przeźroczystych wodach, według słów Mickiewicza: „dno ma złociste, a niebieskie lice.“ Wilno jest starem miastem, założycielem jego był Gedymin, książę litewski, o którym już wyżej wspomniano. Książę przebywał raz na łowach w lasach i puszczach, zalegających dzisiejsze Wilna pagórki. Po całodziennych trudach udał się na spoczynek i miał sen dziwny. Śniło mu się, że widział wilka, z którego paszczy mnóstwo ludzi wychodziło. Nie wiedząc, coby to miało znaczyć, przywołał nazajutrz najwyższego kapłana Lezdejkę, który wytłumaczył mu, iż sen ten jest zapowiedzią miasta, które na tem miejscu powstanie, a jak w paszczy onego wilka, tak w mieście tem roić się będzie mnóstwo ludzi. Gedymin uważając ten sen za objawienie woli bogów, rzeczywiście założył tam miasto, od wilka Wilnem nazwane. Miasto to było stolicą książąt litewskich, a choć królowie polscy tam nie mieszkali, to zawsze miało godność stołecznego miasta. Było siedzibą biskupów, posiadało szkoły jezuickie, potem uniwersytet założony przez Stefana Batorego, którego pierwszym rektorem był sławny kaznodzieja, Piotr Skarga. Uniwersytet zasłynął najbardziej na początku naszego stulecia, kiedy miał równie znakomitych uczniów, jak profesorów. Tam się kształcił ukochany nasz poeta, Adam Mickiewicz. Ten to uniwersytet stanowił przez lat kilkanaście główne ognisko nauk i miłości ojczyzny na Litwie; niestety po wojnie roku 1830 został przez Moskali zamknięty.

C. d. n.).

Listy księdza Chełmickiego z Brazylii.

Ksiądz Chełmicki, co to pojechał do Brazylii, taki list przysłał do Warszawy z miasta San-Paulo:

„Po 12-tu dniach pobytu w Ryjo-Żanejro znalazłem się z prawdziwem zadowoleniem w pociągu, który miał mnie zawieźć do San Paulo. Uciekałem od nieznośnego upału, który jak ołów ciężył nademną; uciekałem od rozdzierających serce wspomnień niedoli, której wspomódz nie mogłem; wreszcie od żółtej febry, która w tym roku tyle ofiar zabrała.

O godzinie 7-ej wieczorem znalazłem się w San-Paulo. Po kilkugodzinnej wędrówce udało mi się nareszcie znaleźć hotel i w nim, do współki z jakimś Brazylijczykiem, nająć lichą stancyę.

San-Paulo jest stolicą krainy tegoż nazwiska, najbogatszej w całej Brazylii. Ziemia jej rodzi dużo kawy, której cena jest bardzo wysoka.

San Paulo liczy mieszkańców przeszło 130.000. Osiadło tu bardzo wielu Niemców tak, że można słusznie nazwać to miasto nawpół niemieckiem.

Oprócz Niemców zamieszkują San-Paulo Włosi, Portugalczycy, a od dwóch lat spora gromada naszych wychodźców.

Wyszedłszy zrana na ulicę, spotkałem człowieka obdartego, wynędzniałego, w którym domyśliłem się zaraz naszego włościanina.

— Niech będzie pochwalony! — rzekłem — a zkądżeście to, ojcze?

— O la Boga! na wieki wieków! — zawołał i w jednej chwili leżał u nóg moich łkając i śmiejąc się naprzemian. Przed dwoma dniami uciekł on z osady, gdzie pochował żonę i dwoje dzieci, do San-Paulo, z dwojgiem pozostałych, zbiedzony, wychudzony, z ranami na nogach, w podartem ubraniu, z którego dziur gołe przeświecało ciało. Doprowadził mnie do rodziny polskiej, która go przytuliła. Ztamtąd wszedłem już z łatwością między resztę.

W tej chwili znajduje się w San-Paulo przeszło 1000 Polaków. Znalazłem między nimi niektórych, co dawniej już tam zamieszkali, naprzykład szewców Gawrońskiego i Furmanka z okolic Tarnowa, ludzi bardzo pracowitych i uczynnych. Osiadł tu również przybyły niedawno z Argientyny inżynier p. Bl., oraz p. Szel., obaj szczerze o losy swoich rodaków dbali. Oni to dopomogli mi zapoznać się rychło z dolą tutejszych wychodźców naszych.

Dosyć pomówić z wychodźcami, aby przekonać się, że ci, którzy szczęśliwym trafem ocaleli, stanowią tylko małą cząstkę tych, co legli pod ciosem niedoli brazylijskiej. Opowiadanie każdego z nich przypomina dzieje onego rozbitka, który uratował się, gdy dziesiątki innych utonęły. Wszyscy szukali szczęścia na owych „rajskich polach Brazylii“, na których łapacze obiecywali im złoto i dostatki. Nędza, choroby i widmo głodowej śmierci wypędziły ich ztamtąd. Po długich walkach zdołali tutaj przynajmniej znaleźć kawałek chleba. „Bóg ulitował się nad nami — powiadają wśród gorzkich łez — i oto żyjemy, i może kiedyś, jak wyrodne dzieci, wrócimy do swoich“.



Z życia Litwinów.

Jużto trzeba przyznać, że powrót do kraju jest jedynem marzeniem każdego wychodźcy. Każdy z nich pyta: „ile kosztuje bilet choćby do Italii (Włoch), boć ztamtąd i piechotą o proszonym chlebie pójdziema“. Każdy od ust sobie odejmuje, aby zebrać cokolwiek grosza na „koszta przejazdu“. — „Będę jeszcze tutaj tyle a tyle miesięcy — mówi każdy — a jeżeli Bóg da zdrowie, to wówczas będę już miał na okręt“.

Wiadomo, jak wielu znajduje się wśród wychodźców robotników z fabryk Łodzi, Tomaszowa, Żyrardowa. Nie mają tu oni żadnego zajęcia, chyba jako prości robotnicy. Otóż niektórzy tak sobie poradzili: B... z miasta Łodzi pracował u mularzy. Siły go opuszczały; czuł, że dalej nie podoła. Kiedyś nauczył się robić kit do szyb, więc za resztę pieniędzy kupił dyament, kilka szyb, zbił skrzynkę z desek, nauczył się wołać po portugalsku: „szklarz idzie!“ — i w ten sposób przebiega ulice miasta. Inny, również z Łodzi, ma syna kalekę, który po ulicach grywa na skrzypcach i zarabia na utrzymanie rodziny. Że to utrzymanie opłakane, chyba się domyślicie. N... z Kalisza był kuśnierzem, — tutaj zmienił się w krawca. Spotkałem też sukiennika, który stał się zegarmistrzem. Mówią wprawdzie, że zazwyczaj zegarki jego roboty nie chodzą; ale zawsze na marne życie zarabia. Niewiele mu się zresztą należy, bo biedactwo ma suchoty.

Takich przykładów mógłbym przytoczyć wiele, ale i te wystarczą do zrozumienia, że zarobek tu nie łatwy. Wszyscy też nietylko pracują, ale i żyją byle jak, z jedyną myślą jak najrychlejszego powrotu. Nie spotkałem ani jednego, nawet z tych, którym się dobrze powodzi, żeby nie liczył dni swego pobytu w Brazylii. Każdego, jeżeli nie nędza i niedola, to trapi okrutnie przynajmniej tęsknota i brak religijnej pomocy. Możecie sobie wyobrazić, jak radość zapanowała wśród tych biedaków, gdy się zgromadzili w kościółku Salezjanów dla wysłuchania Mszy św., kazania i przystąpienia do spowiedzi. Nie będę wam opisywał tej wzruszającej chwili, bo sam jeszcze o niej spokojnie myśleć nie mogę. Żałowałem, że mój zapas upominków religijnych już się wyczerpał. Każdy chciał coś posiadać z kraju, a jak tu odmawiać! Jutro mam być w domu wychodźców, gdzie podobno od całych miesięcy leży około 500 rodzin włościańskich. Zapowiadają mi straszne rzeczy. Zobaczę“.

Zaraz póżniej nadszedł drugi list od księdza Chełmickiego. Oto co pisze:

„Wczoraj wszedłem do domu wychodźców i widziałem tam tyle nędzy, tyle rozpaczy, że nie wiem, czy zdołam wszystko wiernie opisać, bo wyszedłem ztamtąd jakby pijany z bólu i żalu.

O godzinie 2-ej po obiedzie, w towarzystwie pp. Bl., Gawr. i Siel. wyruszyliśmy do domu wychodźców. Jest to budynek ogromny. Dosyć jednak przekroczyć

bramę muru, który otacza dokoła budynek, aby się przekonać, ile po za temi ścianami kryje się niedoli. Nie wiem, jak tam jest innym wychodźcom, ale widziałem swoich i o ich tylko doli pisać pragnę.

Przy wejściu spotkałem gromadki tych biedaków, którzy wnet otoczyli mnie kołem tak, że kiedym wchodził po schodach na piętro, towarzyszył mi cały tłum. Wiedzieli o mojem przybyciu i myśleli, że im wszystkim przynoszę wybawienie. Na nieszczęście musiałem ich wnet wyprowadzić z błędu.

Weszliśmy wreszcie do olbrzymiej izby, w której mieściło się 500 rodzin. Wszyscy leżeli na podłodze, jedni na rogożach, inni na gołych deskach. Zaduch był nie do opisania. Kto mógł, przytulił się do ściany, żeby znaleźć przynajmniej dla głowy oparcie. Inni leżeli na środku. Resztki ubrań podarte wiszą jeszcze na ciele zbiedzonem, chudem. Do matek poprzytulały się dzieci; starsze grzebią się po różnych kątach. Smutek, boleść i zawód wyryte na wszystkich twarzach.

Trudno byłoby powtarzać to, co każdy z wychodźców opowiadał; wszystko to zresztą podobne do siebie. Przywieziono ich tutaj. Każdy żądał przyrzeczonego gruntu, więc poszli na grunt. Tu dopiero rozpoczyna się niedola i zawód! Jaki to grunt — opowiadają. Las, ino las. Siekierą nie urąbiesz, a gdy w parę dni zetniesz wreszcie jedno drzewo, to ci się nie obali. Zetniesz drugie, trzecie — wszystkie stoją, bo je niby powrósłami trzymają jak ręka grube trawiska. Zrosło to wszystko i trzyma się za gałęzie, jak chłop z chłopem za bary. Mówią — palić. Jak tu palić, kiedy mokre, ogień się nie imie, a pod spodem bagno? A choćbyś znowu obalił i znowu obalił i spalił je, to chyba z pół roku trzeba na wydobycie jednego korzenia. Marliśmy głodem. Dowozili co tydzień jedzenie. Ale jakie? Toć gęba się wykrzywia. U nas by ci tego i prosię w pysk nie wzięło. Tymczasem robaki jeść poczynają. Na nogach ustać nie można od ran. W ciele zalęgły się niby liszki. Jedno dziecko zamarło. Ni księdza, ni cmentarza, więc człek jak dla zwierzęcia sam wykopał dół i przysypał ziemią. Wnet zmarło drugie nieboże! Kobieta słabuje. Mnie samego poczyna z nóg zwalać. Więcem zebrał, co jeszcze żyło, i wlekliśmy się siła dni, ażebyśmy przyszli tutaj. Zacząłem krzyczeć i wymyślać. — „Dawajta, gałgany, grunt, coście obiecali, nie tę dziczyznę, co tam chyba zły duch w niej usiedzi! A gdzie krowa, a dobytek, a narzędzia! Wszystkom to za nic zmarnował, boć tu lepsze dać obiecowali". — Oni słuchają, nic nie gadają i coś między sobą szwargocą. Kazali nam tu iść i leżeć. To i leżewa trzy miesiące, a może i więcej. Dwa razy dają ci tę strawę, co się gęba od niej odwraca; ale człek je, aby ino z głodu nie umarł. Musi to być jednak mocno złe, bo ludziska chorują, a dzieci mrą, jak komary. Nas, co jeszcze łazimy, to i przez pół już niema. Nie ruszymy się ztąd jednak na te bory i moczadła. Albo dadzą grunt, jaki obiecowali, albo odeszlą do kraju, albo pomrzemy.

Oto, z małemi zmianami, opowiadanie każdego. Gdy jeden mówi, przerywają mu inni. Każdy dorzuca nowy szczegół niedoli. Przy mężach stają kobiety i płaczą na samo wspomnienie przeżytych nieszczęść i nędzy. Dzieci wtórują matkom i powstaje z tego jeden jęk, jeden płacz rozdzierający!

Wśród tych ofiar niedoli złamanych, znędzonych, od czasu do czasu usłyszysz głos groźny. To nie włościanin przemawia, ale mieszkaniec małego miasteczka, ktory tutaj wśród tych znękanych biedaków przywłaszczył sobie rolę przywódcy.

— Nie pociechy nam trzeba -- woła hardo — ani rady, ale pieniędzy. Jeżeli ksiądz tu przyjechał i pono jakiś pan, toście przywieźli po 100 rubli na każdego. A tak to tylko próżne gadanie.

— A może to nie ksiądz — woła inny, podobny pierwszemu — ino agent przebrany.

— Bój się Boga — przerywa mu trzeci — toć znam Ojca z Warszawy. Ilem go razy woził dorożką! godny kapłan...

— Cicho bądź! — przerywa mu pierwszy — tyś taki sam, jak on.

Wszczął się krzyk, pogróżki. Towarzysze moi struchleli.

— Ludzie — zawołałem przez łzy — więc do tegoście doszli, że w ten sposób przyjmujecie waszego kapłana, który przybył zobaczyć waszą niedolę i ponieść innym wieść o tem, coście wycierpieli?

Słów tych sam nie pamiętam, ale mi je potem przypomniano. Nie szło mi o siebie, ani o wyrządzoną zniewagę, ale doprawdy, skamieniałem widząc, co tu z tych biedaków zrobiono. Musiałem przemówić strasznie, bo w jednej chwili zapanowała cisza, a po niej coś nakształt nie płaczu, ale ryku. Kobiety i mężczyzni otoczyli owych przewodników i już ich nie widziałem więcej. Czułem, że tak być nie może, że tu coś zrobić trzeba, aby usunąć zły przykład i namowy, które prędzej, czy później sprowadzą zgubę na resztę.

W tej chwili przybiegł urzędnik prosząc mnie do dyrektora wychodźtwa, p. Antonio Alves, który pragnie ze mną pomówić.

— Co robić z tymi ludźmi? — pyta mnie ów pan na wstępie — niema sposobu zmusić ich do pracy.

— Zbieracie panowie — odrzekłem — plon waszego posiewu. Agenci wasi przyrzekali tym łatwowiernym ludziom niestworzone rzeczy. Przyszli tu uwiedzeni. Widzą, że ich okłamano, zwiedziono, oszukano. Rozpacz ich ogarnęła. Na to niema już rady, ani uspokojenia. Lecz co panowie z nimi zamierzacie zrobić?

— Jeszcze raz spróbujemy ich skłonić do roboty. Jeżeli to nie pomoże, siłą zapędzimy na okręt i zawieziemy na wyspę. Tam robić muszą.

A więc taka czeka ich przyszłość! Pan dyrektor przyrzekł jutro z samego rana (t. j. w niedzielę) wypuścić wszystkich do kościoła. Tam, czułem, jest jedyne miejsce, gdzie zdołam opamiętać, uspokoić, a może i od niechybnego niebezpieczeństwa uchronić tych biedaków.

Kiedy wyszedłem od p. dyrektora, zastąpiono mi drogę, prosząc o wydysponowanie na śmierć kilku chorych. Poszedłem do szpitala. Chorych było niewiele, około 12-tu dorosłych i 15-ro dzieci. Przedtem na sali widziałem wielu takich, którzy powinni być w szpitalu, albo zawcześnie zostali wypuszczeni.

Temu, kto nie widział w życiu prawdziwej rozpaczy, byłbym ją tutaj pokazał. Na łóżku, przy ścianie, konało 16-letnie dziewczę. Przy nogach jej z błędnem okiem siedziała jej matka. Nie płakała, ale boleść wykrzywiła całą postać.

— Patrz ojcze — rzekła głuchym głosem — pochowałam pięcioro, w zeszłym tygodniu mąż mi umarł, a oto i tę ostatnią Bóg mi zabiera!

W niedzielę od samego rana kościółek Salezjanów zapełnił się po brzegi. Nie będę wam opisywać chwil tam przebytych. Żałowałem, że w dziesięciu przemienić się nie mogę. Tutaj poznaliśmy się i zrozumieli, a mam w Bogu nadzieję, że On wątłym moim staraniom doda siły i skuteczności. Około południa rozstaliśmy się, odśpiewawszy na pożegnanie „Pod Twoją obronę“.

Wierzajcie, że trudno i boleśnie przychodzi mi pisać to wszystko; jeżeli to czynię, to tylko dlatego, żeby ci, co czytać będą, poznali choć trocha niedolę wychodźców i nauczyli się kochać choćby ten kęs czarnego chleba w domu, który, gdyby im go tutaj dać można, oblewaliby jeszcze łzami.

Jutro wyjeżdzam na kilka dni do Kampinos i Rio-Claro dla obejrzenia osad. Potem okrętem do Prana-qua, Korytyby i t. d.

Ks. Zygmunt Chełmicki“.

Korespondencya „Krakusa“.

Babice pod Chrzanowem 3 lipca.

W krótkim czasie wydarzyło się kilka nieszczęśliwych wypadków w naszej parafii. Przed miesiącem zginęła od piorunu w Jankowicach kobieta brzemienna, Janikowa, wracając do domu od okopywania ziemniaków. — Dnia 27go czerwca zabił piorun w Kwaczale Szatana, włościanina siedmdziesięcioletniego, który uchodząc przed burzą, przypomniał sobie, że zostawił fajkę na łące. Wrócił się po nią, ale zaledwie uszedł kilkadziesiąt kroków, spotkała go śmierć niespodziewana. Gdy nadszedł dzień pogrzebu, a żona jego za długo spoczywała w łóżku, jakby ją pogrzeb męża nic nie obchodził, starano się obudzić ją, ale jakież było przerażenie obecnych, gdy znaleziono w łóżku nieboszczkę. Ze śmiercią obojga małżonków wyginął ród Szatanów w Kwaczale, albowiem byli bezdzietni. — Dwa tygodnie temu spalił się dom Franciszka Piekarczyka, gospodarza w Babicach. Ogień podłożyła ręka zbrodnicza w nocy. Jeśli ten zbrodniarz ujdzie sprawiedliwości ludzkiej, sprawiedliwość Boska nigdy go nie minie, bo podpalenie należy do największych zbrodni, równie jak zabójstwo. Szczęście wielkie, że była zupełna cisza; inaczej powtórzyłaby się katastrofa z roku 1871, kiedy pożar zniszczył kilkadziesiąt budynków gospodarskich, kościół i szpital. Szanowna Rada gminna zasłużyłaby sobie na wdzięczność mieszkańców, gdyby postarała się o sikawkę, oraz o jednę przynajmniej porządną studnię, w którejby było zawsze wody poddostatkiem, nietylko wtenczas kiedy deszcz pada. — W Mętkowie dnia 1 lipca stały się pastwą płomieni dwa domy z zabudowaniami gospodarskiemi. Podobno dzieci pozostawione same bez dozoru wznieciły pożar. Rodzice i opiekunowie! Nie zostawiajcie nigdy dzieci samych w domu bez należytego dozoru i chowajcie zapałki w bezpiecznem ukryciu! Młodzież powinna także być ostrożną z paleniem papierosów i bezwarunkowo nie palić w stajniach lub stodolach i nie rzucać niedopalonych resztek bez uwagi.

W sąsiednich parafiach były także wypadki pożarów od uderzenia piorunu nocną porą, jak w Płazie i Porębie. — Wobec panujących licznie pożarów, widząc wielki pożytek z ubezpieczenia się od ognia, włościanie chętnie przystępują do asekuracyi swego mienia, ale czynią to tylko zamożniejsi, posiadający po kilkanaście morgów pola; dla biedniejszych jest trudnem dzisiaj przy wysokich podatkach płacenie asekuracyi. Powszechnem jest tedy życzeniem włościan, aby jak najprędzej wyszło prawo przymusowego asekurowania, przez co asekuracya wypadłaby może znacznie taniej, niż jest obecnie, a zatem i mniej zamożni gospodarze mogliby korzystać z błogich skutków zabezpieczenia się od ognia. Gospodarze, posiadający zaledwie po kilka morgów, a takich jest najwięcej w każdej wsi, nie będąc w stanie asekurowania się, stają się po ogniu żebrakami i dożywotnimi sługami znanych wiejskich lichwiarzy-pijawek...

Ucichło też jakoś od niejakiego czasu o wyrabianiu dachów ogniotrwałych słomianych przez p. inżyniera Uderskiego. Takie dachy ogniotrwałe, tańsze od zwykłych słomianych, byłyby prawdziwem dobrodziejstwem dla włościan trapionych ciągłymi pożarami, a wynalazca zasłużyłby sobie nietylko na serdeczną wdzięczność ludności wiejskiej, ale i kraju całego.

Stanisław Deszcz.
członek Kółka rolniczego.

Wiadomości polityczne.

Ziemie polskie.

Dnia 3-go lipca umarł pierwszy biskup-sufragan cieszyński ksiądz Franciszek Śniegoń. Był on biskupem-zastępcą biskupa wrocławskiego, do którego dyecezyi leżącej w państwie pruskiem należy także księstwo cieszyńskie. Otóż w tem księstwie cieszyńskiem, zamieszkałem przez Polaków, pomagał zmarły w rządzeniu niem biskupowi wrocławskiemu.

Ks. Śniegoń urodził się w Cieszynie i całe życie przebywał na Szląsku. Dobry pasterz dbał o owce swoje i pracował do ostatniej chwili, mimo podeszłego wieku i przytępionego słuchu, w winnicy pańskiej. Na tydzień przed śmiercią przyjął uroczyście Komunię św., którą mu uroczyście w procesyi przyniesiono z kościoła. W procesyi tej wzięło udział całe duchowieństwo i tłumy ludności, które kazał wpuścić do swoich pokojów. Po przyjęciu Komunii żegnał się najpierw z kapłanami, a później ze wszystkimi otaczającymi. Była to chwila rozrzewniająca.

Ze śmiercią ks. biskupa Śniegonia łączy się sprawa ważna, a mianowicie wszyscy ci, którym leży na sercu dobro polskiego Szląska, pragną, aby uprosić Stolicę Apostolską o zmianę granic dyecezyi wrocławskiej i przyłączenie księstwa cieszyńskiego do dyecezyi krakowskiej. Biskupem wrocławskim bywa zwykle Niemiec, który nie znając języka polskiego, często nie może odczuć rzeczywistych potrzeb ludności polskiej. Zresztą nie jest to bardzo właściwem, aby w państwie austryackiem zarządzali Kościołem biskupi pruscy.

Górny Szląsk, który leży w Prusach, należał dawniej do dyecezyi krakowskiej, a chociaż ma ludność polską, to przecie Prusacy postarali się, aby odłączyć go od naszej krakowskiej dyecezyi. Tak samo dzisiejsza dyecezya sandomierska w Królestwie Polskiem należała do dyecezyi krakowskiej, a od dłuższego już czasu wskutek starań rządu rosyjskiego odłączoną została od Krakowa i stanowi osobną dyecezyę. Słuszną więc jest rzeczą, aby rząd austryacki uprosił Stolicę Apostolską o przyłączenie księstwa cieszyńskiego do dyecezyi krakowskiej. Jest to ważne nietylko pod względem kościelnym ale i narodowym, bo rząd pruski — jak wiadomo — zawsze uciskał Kościół i narodowość polską, a choć teraz zwolniał w ucisku, to mogą dawne czasy się wrócić i może się szerzyć wpływ niemiecki w księstwie cieszyńskiem.

Z Koła polskiego.

Do Koła polskiego napisały petycyje wydziały Rad powiatowych w Brzozowie, Cieszanowie, Podhajcach i Nadwórnie, aby przy poborze podatków bezpośrednich wraz z dodatkami, do tych gmin, w których niema urzędu podatkowego, wysyłano kosztem skarbu państwa urzędnika, w celu pobierania tych podatków. Koło polskie już uchwaliło przedtem popierać taką samą petycyę z powiatu Sokalskiego, a więc się samo przez się rozumie, że już drugi raz uchwalać nie potrzebowało. Tak samo rozmaite wydziały powiatowe przesłały petycye, aby żądano taniej sprzedaży soli dla bydła, co już także poprzednio uchwalono.

Wydział Rady powiatowej Mieleckiej udał się do Koła z prośbą o wyjednanie pożyczki ze skarbu państwa na drenowanie gruntów. Prośbę tę wraz z wnioskiem posła ks. Ruczki, aby Koło wezwało rząd do przedłożenia jak najrychlej projektu pożyczek państwowych na drenowanie, — przekazano osobnej komisyi, która się nad tem naradzi.

Poseł ks. Chotkowski prosił Koło, aby mógł zabrać głos w Izbie za polepszeniem bytu urzędników pocztowych po małych miasteczkach. Przy sprawie poczt także będzie przemawiał poseł Chrzanowski, ażeby wobec wzrostu czynności pocztowej i telegraficznej powiększono liczbę urzędników.

Potem nastąpiła długa dyskusya w Kole nad potrzebą nowych kolei żelaznych i nad zniżeniem taryfy od przewozu towarów. Poseł Gniewosz popierał budowę kolei z Kołomyi do Horodenki; poseł Wolfarth żądał połączenia koleją Chodorowa z Brzeżanami przez Rohatyn; poseł Struszkiewicz wreszcie przedstawił potrzebę zbudowania niewielkiej drogi żelaznej, którąby połączyła kopalnie węgla w Galicyi, mianowicie w Jaworznie z kolejami państwowemi, przez co stałby się łatwiejszym i tańszym przywóz węgla dla Galicyi. Poseł Henzel, który jest członkiem ogólnej komisyi budżetowej przez całą Izbę wybranej, zawiadomił, iż z komisyi tej uchwalono wezwać rząd do budowania kolei żelaznych w Czechach, na Morawie, na Szląsku i w Karyntyi, na co polscy członkowie tej komisyi zapowiedzieli, że tylko w takim razie będą głosowali za budową tych kolei, jeżeli inni członkowie komisyi będą ze swej strony głosowali za budową kolei żelaznych w Galicyi.

Na posiedzeniu Koła w dniu 5-tym lipca uchwalono, ażeby przy budżecie rolnictwa oświadczyć się za wydawaniem 750.000 reńskich na ulepszenie rolnictwa (melioracyje) we wszystkich krajach austryackich. Dotychczas przeznaczano na to pół miliona. Przy tej sposobności polecono wykazać, iż galicyjskie szkoły rolnicze i leśne otrzymują zbyt małe zasiłki ze skarbu państwa. Ponieważ monarchia austryacka składa się przeważnie z krajów rolniczych, trzeba będzie przeto żądać, aby i Towarzystwom rolniczym na cele podniesienia rolnictwa przyznano znacznie większe jak dotychczas zasiłki. Z funduszu melioracyjnego trzeba wreszcie przeznaczyć większe kwoty na zalesienie gór;

i domagać się, aby rząd baczniej pilnował wykonania ustawy tyczącej się zalesień.

Na temże samem posiedzeniu przystąpiło Koło do wybrania z pośród siebie siedmiu członków i dwóch zastępców do Delegacyj wspólnych. Czytelnicy Krakusa wiedzą już z poprzednich numerów dokładnie, iż nad wspólnemi sprawami obu połów monarchii, to jest Austryi i Węgier radzą tak zwane delegacye, wybierane przez Sejm węgierski i parlament austryacki. W tym ostatnim każde stronnictwo i każdy większy klub ma prawo wybrać do tych delegacyj pewną ilość członków. Otóż Koło polskie wybiera siedmiu członków i dwóch zastępców. Ponieważ Rusini, mający mały klubik, nie mają prawa wyboru członków do delegacyj, przeto Koło polskie dla miłości i zgody postanowiło wybrać także jednego Rusina. Wybrani zostali posłowie: Abrahamowicz, Benoe, Biliński, Chrzanowski, Czajkowski Wł., Jaworski (prezes Koła) i Mandyczewski (rusin). Na zastępców wybrano posłów: Szczepanowskiego i Henzla.

Austrya. Na posiedzeniu Rady państwa 3 lipca deputowany dr. Slama narzekał na nieposzanowanie praw Polaków i Czechów na Szląsku. Muszą się oni uczyć po niemiecku, nie mają swoich urzędników; należy więc im oddać to, co im się sprawiedliwie należy.

Dnia 4 lipca, mówiono wiele w Radzie państwa o podatkach; w imieniu Koła polskiego mówił poseł Weigel który powiedział, że wysokie podatki narażają na wielkie straty rolnictwo i przemysł.

Na posiedzeniu 5 lipca, kilku posłów niemieckich tak się ze sobą pokłóciło i tak się łajało, że aż wybrano osobną komisyę, któraby tę sprawę rozpatrzyła i komu należy udzieliła nagany.

W dniu 8 lipca mówiono wiele o potrzebie zaprowadzenia w handlu taniej soli bydlęcej. Przemawiał za tem między innymi i nasz deputowany poseł Straszewski. Mówił on, że wskutek wysokiej ceny przemycana jest sól z Rosyi, co państwu szkodę przynosi.

Deputowany Roser wzywał rząd do zniesienia loteryi i wykazywał jakie nieobliczone szkody przynosi ona biednej ludności nie tylko pod względem pieniężnym ale i moralnym. Przytaczał rozmaite wypadki, w których ludzie porządni, przez namiętność do gry loteryjnej, nietylko wpadli w nieszczęście, ale popełniali nawet wielkie występki i okradali nawet często skarb państwa. Wszyscy posłowie ogromnie oklaskiwali słowom tego mowcy, czem dali panu ministrowi skarbu do poznania, że należałoby loteryę całkiem znieść, a przynajmniej ograniczyć.

O zniesieniu loteryi na razie myśleć trudno, bo daje ona znaczny dochód skarbowi, ale można ją pomału ograniczać a przynajmniej tak urządzić, aby najbiedniejsza ludność nie była przez nią narażona na straty i występki. W Królestwie Polskiem naprzykład, w królestwie Saskiem i wielu innych miejcowościach istnieje tak zwana loterya klasyczna, której najtańszy bilet parę reńskich kosztuje, a więc ten co ma 10 lub 20 centów w kieszeni, stawiać na nią nie może, a i niejednemu z tych, co mają dwa reńskie do stracenia, nie chce się ich narażać. Parę lub kilka szóstek to niby nic nie znaczy i dla tego wielu je stawia, bo myśli: a nuż wygram. Ale jak tych kilka szóstek ciągle się stawia, to urośnie ładna sumka, — jeden na tysiąc coś wygra, a reszta biedna jeszcze więcej biednieje. Zresztą czytelnicy *Krakusa* przypominają sobie zapewne prawdziwą historyę o „Bogaczach loteryjnych“ a więc nie potrzeba im tłomaczyć ile szkody przynosi loterya i dlaczego wszyscy pragną ją znieść, albo przynajmniej umniejszyć.

Węgry. Na Węgrzech w Kaloczy umarł kardynał Haynald. Był to znakomity kapłan, który prawie całe swoje dochody rozdawał już to biednym, jużto na popieranie szkół ludowych i wyższych. Z własnych funduszów założył gimnazyum i postawił gmachy dla instytucyj naukowych. To też pogrzeb jego był wspaniały; brali w nim udział ministrowie, szedł za trumną i reprezentant cesarza, który w osobnym telegramie wyraził swój żal z powodu śmierci tak zasłużonego kościołowi i ludzkości człowieka.

Rosya. Według dzienników rosyjskich rząd rosyjski polecił różnym swoim i zagranicznym warsztatom wybudować 26 statków wojennych. Dzienniki te cieszą się z powiększenia siły morskiej Rosyi, gdyż — jak mówią — na niej się opiera jej panowanie na morzach Bałtyckiem i Czarnem. Okręty takie służą głównie do obrony wybrzeży nadmorskich, oraz do bombardowania miast nieprzyjaciela leżących nad morzem.

W miasteczku Serajówka pod Odessą rzucili się włościanie na żydów, zniszczyli ich domy i sklepy i wielu pokaleczyli.

W Kronstadzie, twierdzy rosyjskiej nad morzem, niedaleko Petersburga, przygotowują się do bardzo uroczystego przyjęcia francuskich okrętów wojennych. Sam car przybędzie do Kronsztadu a oficerów francuskich zaprosi na imieniny carowej. Ma być to niby rodzaj odpowiedzi na ogłoszenie odnowionego przymierza Austryi, Włoch i Niemiec. Car chce tem przyjęciem pokazać, że żyje z Francyą w zgodzie i nikogo się nie boi.

Za parę tygodni młodziutki król serbski Aleksander pojedzie do Rosyi, gdzie go będą pięknie przyjmowali. Moskale zawsze starali się tłomaczyć Serbom, że tylko oni ich kochają i o ich szczęściu myślą. Obecnie mają Moskale zamiar urządzić w Białogrodzie (Belgradzie), stolicy serbskiej, wystawę swojego przemysłu, ażeby zachęcić Serbów do kupowania wszystkiego od Rosyi a nie od innych państw europejskich; nawzajem

mają Moskale zmniejszyć bardzo cło od wyrobów i płodów serbskich, aby Serbowie mieli korzyść ze stosunków z Rosyą.

Anglia. Cesarz niemiecki znajduje się obecnie w Anglii z wizytą u swej babki królowej angielskiej. Jużeśmy pisali, że z tym jego pobytem łączą bliższe porozumienie się co do udziału w przymierzu trzech mocarstw: Austryi, Włoch i Niemiec.

Rumunia. Jakeśmy to już pisali w *Krakusie*, królestwo rumuńscy nie mają dzieci, a więc przybrali sobie za syna swego krewnego księcia Ferdynanda Hohenzolerna. Pisały nieraz dzienniki, że ten następca tronu ma żenić się z jedną z księżniczek z domów panujących, aż tu rozniosła się wieść, że książę Ferdynand kocha się wprawdzie w bardzo ładnej i nawet piszącej wiersze pannie Vacaresku, ale znacznie od siebie starszej i nie należącej do żadnej z rodzin panujących. Królowej rumuńskiej, która także pisze i to bardzo ładne wiersze, ogromnie się podobało, że młodzi ludzie są w sobie zakochani i chciała na gwałt połączyć ich węzłem małżeńskim. Ale Rumunom to się nie podobało, bo naprzód ożenienie się przyszłego następcy tronu z jaką księżniczką obcą mogłoby w danym razie być korzystne dla Rumunii, gdyż polityka często na takich związkach się opiera; powtóre obawiają się, że rodzina panny przyszłaby do wielkiego znaczenia, a nie jest to nigdy dobre dla państwa, kiedy jakaś rodzina ponad inne się wzniesie i zechce przewodzić. Powiedziano więc księciu Ferdynandowi: żeń się z panną Vacaresku, ale zrzecz się tronu, albo bądź dalej następcą tronu a zrzeknij się panny Vacaresku. I choć ze łzami w oczach, ale musiał się książę wyrzec miłości i wyjechać zagranicę, bo myślał pewno sobie: inną żonę znajdę, ale innego tronu to darmobym ze świecą szukał po świecie. Tak to pokazuje się, że każdy człowiek ma swoje przykrości i że często ten, co go najwyżej los wyniósł, mniej może rządzić sobą i postępować według własnej woli, jak ten, co mało ma i na los swój narzeka.

Rady gospodarskie.

O potrzebie wczesnego pokładania ściernisk i o korzyściach, jakie daje obsiewanie ich łubinem.

Pozostawianie ściernisk przez kilka tygodni w celu paszenia na nich bydła, przynosi gospodarzowi zamiast zysku stratę dosyć znaczną. Krowy po wypędzeniu na ścierń dają zwykle mniej mleka, co dowodzi nalepiej, że pasza ta nie jest dostatecznie dla nich pożywną, gdyż składa się przeważnie z resztek ściętych już roślin i z drobnych nie zawsze smacznych chwastów, które bydlę wybierać musi wśród ostrej ścierni, narażając się na kłucie swych nozdrzy.

Jeżeli rola jest bardzo zaperzona, to pasza na ścierni jest nieco obfitszą, lecz tem spieszniej pokładać ją należy, ażeby wyniszczyć owe chwasty, które mogą stać się przeszkodą w uzyskaniu dobrego plonu następnego. Staraniem roztropnego gospodarza musi być utrzymanie roli w stanie jak najczyściejszym, jeżeli więc ma na ścierni paszę składającą się z perzu, to już dowodzi, że dobrym gospodarzem nie jest.

Wszakże nietylko o wyniszczenie perzu chodzić nam powinno, lecz również i o wygubienie wszelkich innych chwastów, których nasiona znajdują się w ziemi, lub też nasiały się świeżo przy dojrzeniu ich wśród zboża i leżą na powierzchni roli. Wczesnem a cienkiem spokładaniem ścierni damy im możność szybkiego skielkowania i powschodzenia, a następnie zniszczymy je bronami, radłem i drugą orką.

Dalszą korzyścią natychmiastowego spokładania ścierni jest zapobieżenie zbytecznemu wysychaniu ziemi, gdyż przy spulchnieniu po wierzchu traci ona na pewien przeciąg czasu jednostajność swej rurkowatości, więc wilgoć warstw głębszych nie może dostać się na wierzch dla odparowania. W jesieni panują u nas często kilkotygodniowe posuchy, ziemia więc pozbawiona wilgoci nie może w tym czasie rozkładać się i przysposabiać pożywienie dla roślin.

Po roślinach strączkowych i po wszelkich koniczynach należy pospieszać z pokładaniem lub oraniem roli także i dlatego, ażeby lotne części nawozu, które rośliny te czerpią z powietrza i które znajdują się w wierzchniej warstwie ziemi, nie ulotniły się ponownie przy wyschnięciu roli, lecz dostały się do warstwy nieco głębszej.

Następnie wiadomem jest, że każda ścierń po płytkiem przyoraniu w stanie świeżym, gdy jest miękką i soczystą, rozłoży się szybko i stanie się częścią pożywienia roślin, które zasiane będą na tem polu, gdy przeciwnie ścierń wyschnięta i stwardniała leżeć może w ziemi bez wielkiego pożytku przez lat parę.

Nareszcie, wczesne spodkładanie ścierni ułatwia nam zachowanie czasu, który potrzebny jest do odleżenia się roli przed każdą następną jej orką i wynosić powinien 5 do 6-ciu tygodni. Jeżeli więc wykonamy pokład w połowie lipca, to przy uprawie roli pod kartofle, bez obsiewania jej czemkolwiek w jesieni, możemy dać drugą orkę z końcem sierpnia lub na początku września, trzecią zaś w październiku.

Powyższe więc bardzo ważne powody powinny skłonić nas, ażeby pomimo innych pilnych w owym czasie zajęć pokładać ścierń natychmiast po zebraniu zboża z pola. Rolnicy zagranicą spieszą się z tą czynnością tak dalece, że kopy ze zbożem stoją jeszcze w polu, a ścierń między niemi jest już spokładaną.

Na ziemiach lżejszych, a nawet na glinach suchszych i niezbyt zwięzłych obsiewa się pokłady jak

najprędzej nawozami handlowemi i łubinem, w którym to razie można dać pokład nieco głębszy. Nawozy te, jak: superfosfat, kości, mączka żużlowa i kainit rozsypują się na ściernisku przed jego zoraniem, łubin zaś dopiero pod brony. Jedno i drugie ma służyć dla plonu następnego.

Jeżeli po łubinie takim, przyoranym następnie jako nawóz zielony, nastąpić ma ozimina, to zasiew jego wykonany być musi najpóźniej około 15 lipca, ażeby wyrosnąć mógł dostatecznie i dać odpowiednią ilość nawozu zielonego. Z powodu jednak, iż tak wczesny zasiew łubinu przeprowadzony być może li tylko po życie, po którym nie jest rzeczą stosowną dawać ponownie oziminę, przeto w wyjątkowych tylko wypadkach podobne następstwo płodów byłoby usprawiedliwionem.

Doskonale jednak nadaje się jesienny zasiew łubinu pod wszelkie płody wiosenne, szczególnie zaś pod owies i kartofle. Oczywiście, że im wcześniej łubin zasiejemy, tem obfitszym będzie nawóz z niego, gdyż rosnąć może do późnej jesieni, a nawet w wielu wypadkach korzystniejszem okazało się przyoranie jego dopiero na wiosnę. Liczne próby wykazały, iż łubin przyorany zastąpić może połowę nawozu stajennego, przeto zasiewanie jego w ścierni upowszechnia się coraz więcej, a dla gruntów piaszczystych stało się ono prawdziwem dobrodziejstwem. Głównym przytem warunkiem jest dostateczna wilgoć, która potrzebną jest do powschodzenia nasienia. Jeżeli jednak nie pozwolimy ścierni wyschnąć po zebraniu plonu poprzedniego, lecz zorzemy ją i obsiejemy natychmiast, to i temu żądaniu stanie się zadość.

Chodzi więc głównie o koszta. Do obsiania jednego morgu potrzeba 100 kilogramów zdrowego łubinu, które kosztują około 6-ciu złr., gdyby więc łubin przyorany równał się, z powodu niedostatecznego wyrośnięcia, tylko $^1/_4$ zwykłego nawozu stajennego, to jest siedmiu jego furom, to i tak wydatek będzie o połowę tańszy, aniżeli wartość nawozu zwykłego, która wynosiłaby co najmniej 14 złr. Dodatki w nawozach handlowych, t. j. w superfosfacie lub w mączce żużlowej i kainicie nie wchodzą w ten rachunek porównawczy, gdyż musiałyby nastąpić i przy nawozie stajennym, jeżeli ich ziemia potrzebuje, w przeciwnym zaś razie nie potrzebują być dawane pod łubin.

Podobne więc obsiewanie ścierni łubinem, któreby wykonane było każdego roku natychmiast po sprzęcie zboża ozimego, nietylko że wynagrodziłoby nam sowicie ubytek lichego pastwiska na ścierni, lecz przyczyniłoby się znakomicie do użyźnienia naszej roli, szczególnie na gruntach lekkich i przy braku dostatecznej ilości nawozu stajennego.

A. Lippoman.

Jak się należy obchodzić z narzędziami roboczemi?

Pewien gospodarz nie przyjmował żadnego służącego do służby, zanim służący nie wykonał w jego oczach pracy na próbę mu zadanej. Jeżeli robotnik po skończonej pracy oczyścił narzędzie i na właściwem położył miejscu, gospodarz go zostawiał w służbie; — jeżeli zaś robotnik skończywszy pracę, narzędzie obojętnie na bok odłożył, gospodarz nie przyjął go do służby. Szczególny sposób wynajmywania służącego! Dlaczego ów gospodarz postępował sobie tak nieco dziwacznie? Dlatego, bo według jego doświadczenia, służący, czy też codzienny robotnik, choćby nawet silny i zgrabny, lecz lekkomyślny i niedbały, przynosił mu przez uszkadzanie narzędzi roboczych mniej korzyści, aniżeli robotnik mniej zdolny, lecz obchodzący się z narzędziami gospodarskiemi starannie. — I słusznie, — bo narzędzie robocze, czy to kosa, czy motyka, czy to młotek lub pilnik niszczeje bardziej przez to, że się o nie nie dba, niż przez ciągłe używanie; — pług ciągle używany błyszczy przy świetle słońca, a stojący w kącie wozowni bez opieki rdzewieje i rujnuje się. Jeżeli zaś gospodarskich i rzemieślniczych przyborów jest wiele, to w przeciągu kilku lat może właściciel tychże wskutek niedbałego się z niemi obchodzenia mieć dosyć znaczną stratę.

Należy tedy na narzędzia robocze większą zwracać uwagę. Tak samo rolnik i gospodarz na wsi, jak i rzemieślnik w mieście ma nietylko sam należycie obchodzić się z narzędziami swemi, lecz i na to baczyć, aby swoje dzieci i sługi zawczasu przyzwyczajać do starannego obchodzenia się z niemi. Jakże to często niejeden rzemieślnik musi odpokutować swoję niedbałość w tym względzie! bo już to dla niedbałości całkiem zginie narzędzie tak, że trzeba wydać grosz ciężko zarobiony na nabycie nowego, a tracić czas potrzebny na zakup, już też znowu zapomni się o narzędziu nie wiedzieć gdzie zapodzianem i traci się czas na szukaniu zaginionego, już też trzeba się nagniewać i nakłopotać. — Celem tedy należytego obchodzenia się z jakimkolwiek roboczym sprzętem potrzeba:

1) Dla każdej rzeczy wyznaczyć właściwe miejsce; tym sposobem uniknie się niepotrzebnego szukania i zyska się na czasie.

2) Każdy przedmiot, a zwłaszcza rzadko używany, należy od czasu do czasu oglądnąć i oczyścić; nie wystarczy n. p. jakiś przyrząd stalowy lub żelazny użyty w pracy w miejscu mokrem obetrzeć i osuszyć, lecz trzeba jeszcze cieniuchno pociągnąć tłuszczem.

Mogą te uwagi zdawać się komu drobnostką, — a przecież zachowanie ich może przynieść wielkie korzyści tak pod względem porządku, jak pod względem

spokojności — wreszcie i zysk znaczny na czasie i kieszeni — a ziarnko do ziarnka, będzie miarka.

W Białej d. 12 czerwca 1891.

X. Łabaj.

NOWINY.

— W Żółkwi umarł powszechnie szanowany ksiądz opat. Józef Nowakowski. W powstaniu r. 1831, mając lat 19, służył jako artylerzysta pod jenerałem Dwernickim. Po upadku powstania poświęcił się służbie duchownej, a przed kilku laty doczekał się 50-letniego jubileuszu kapłaństwa. Był naprzód proboszczem w Łużnej w jasielskiem, później w Kulikowie, a od roku 1863 w Żółkwi, gdzie zrestaurował kościół, odszukał i uroczyście pochował zwłoki królewiczów polskich Jakóba i Konstantego Sobieskich, synów tego sławnego króla Jana III-go, co Wiedeń i chrześcijaństwo od pogańskich Turków wybawił. Ojciec św. Pius IX mianował go opatem infułowanym i swym prałatem domowym, a cesarz dał mu wysoki order za zasługi.

— Komitet Towarzystwa rolniczego krakowskiego uchwalił starać się, aby za pomocą stacyi kontrolnej w Czernichowie czuwano nad sprzedażą włościanom nawozów handlowych i nasion. Tenże sam komitet uchwalił poprzeć założenie niższej szkoły rolniczej w Krośnie.

Rozmaitości.

Pewna dziewczyna we Frankfurcie nad Menem spuściła się w ogrodzie zoologicznym (w zwierzyńcu) po sznurze do klatki, gdzie były niedźwiedzie. Nieszczęśliwa została natychmiast rozszarpana i pożarta; dlaczego tę dobrowolną a straszliwą śmierć sobie obrała, nie wiadomo.

Nowa sekta. Schyzmatycy Moskale mają ogromną ilość sekt pomiędzy sobą. Nie ma w ich kościele prawosławnym jedności, tak jak w naszej świętej wierze katolickiej. Nic dziwnego, bo kiedy ich nauka jest błędna, to też i każdy błąd nowe błędy rodzić musi. Ci co się zajmują opisywaniem państwa rosyjskiego, wyliczają około 50 sekt odszczepionych od kościoła prawosławnego. A co parę lat prawie jakaś nowa sekta powstaje. Obecnie donoszą, że koło miasta Carewosanczurska założono sektę „Pustelników“, którzy wierzą w istnienie na ziemi antychrysta i bliski koniec świata. Mówią oni, że każdy, komu jest miłem królestwo niebieskie, powinien opuścić dom, żonę i dzieci, udać się na pustynię i tam umrzeć śmiercią głodową. Żenić się nikomu nie radzą, a dziewczętom za mąż wychodzić nie pozwalają. Chcąc się pozbyć namiętności, potrzeba użyć jedynego dobrego środka, to jest głodu. Nauka ta podobała się innej sekcie, tak zwanym „bezpopowcom“, zaczęli więc i oni umykać w lasy a za nimi szły żony i dzieci. Za całe ubranie wystarczały im liście z drzew. Wielu z nich, nie mogąc wytrzymać głodu, zaczęło żywić się trawami, liśćmi i korą; stąd powstały między nimi choroby, a wielu zmarło. Oto, do czego doprowadza brak prawdziwej wiary.

Fraszki.

— Aj ci uczeni, ci uczeni! — rzekł Marcin do Marcina — pomyśl sobie tylko, oni już naprzód wiedzą, kiedy ma być zaćmienie słońca i księżyca. — Ej głupi jesteś — odpowiedział ten drugi Marcin — cóż to znowu tak wielkiego? Oni przecie to wiedzą z kalendarza.

Dwóch ludzi spotkało się na wąskim zaułku i żaden nie chciał drugiemu ustąpić z drogi. Jeden z nich rzekł uparcie: — Ja nigdy głupcowi nie ustępuję z drogi! — A ja chętnie — odpowiedział drugi, usuwając się z grzecznym ukłonem.

Żołnierz stojący na pikiecie w czasie wojny, położył się i zasnął, podczas gdy jego towarzysz czuwał. Wtem nadbiegła kula armatnia i odcięła mu głowę. — Do kroćset djabłów! — rzekł czuwający żołnierz — to się dopiero biedak zdziwi, jak się ocknie, że niema już głowy.

Sprawozdanie z targu zbożowego na Kleparzu.

Kraków 10 lipca.

Płacono za pszenicę białą od 10.60 do 10.90 złr. za czerwoną od 10.50 do 10.80 złr., za żółtą od 10.40 do 10.80 złr.; za żyto od 8.30 do 8.80 złr.; za jęczmień browarny od 7.25 do 7.75 złr.; na paszę od 6.50 do 7.— złr.; za owies od 6.90 do 7.25 złr.; Rzepak od —.— do —.—. Wszystko za 100 kilogramów.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca: **Kazimierz Bartoszewicz.**

Nakład i własność „Spółki wydawniczej polskiej w Krakowie, zarejestrowanej z ograniczoną poręką“.

W Krakowie, w drukarni „Czasu“ Fr. Kluczyckiego i Sp. pod zarządem Józefa Łakocińskiego.